Nr. 8. (l. b. Nr. 96) Lwów, 15 kwietnia 1917. Tom V.



DWUTYGODNIK
SOKOLEJ MŁODZIEŻY SKAUTOWEJ.
PISMO URZĘDOWE
ZWIĄZKOWEGO NACZELNICTWA SKAUTOWEGO.

Cena pojedyńczego numeru 30 h. = 30 fen. Prenumerata roczna 6 koron.

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca. Adres redakcji i administracji: Lwów, ul. Sokoła 7.

Prenumerować można tylko wprost w administracji (pieniądze przekazem lub osobiście).

Dr. X. F.

„Ochrona dziecka“.

Wiadomo Wam, kochani czytelnicy „Skautu“, że obok innych instytucyi, których potrzebę wywołała tocząca się od trzech lat straszliwa wojna światowa, powstała niedawno także »Ochrona dziecka«. Powody jej zaistnienia, tudzież cele i zadania jej są tak powszechnie znane, iż nie widzę potrzeby powtarzania tego.

Muszę tylko z góry zaznaczyć, że nie mam na myśli, pisząc do Was o »ochronie dziecka«, tego drobiazgu ludzkiego, któremu zabrakło ciepłego kąta, bielizny, odzieży, opieki, mleka, strawy, jednem słowem wszystkiego, bez czego te wątłe istoty musiałyby zmarnieć i zaniknąć z niepowetowaną szkodą społeczeństwa, składającego daninę krwi i żywota tysięcy i tysięcy młodzieży.

Tym drobiazgiem ludzkim, bardzo cennym i bardzo nam drogim, zajmie się ktoś bardziej od Was uzdolniony i kompetentny.

A jednak nie może i nie powinno być, ażeby skauty i skautki polskie stały zdala od »ochrony dziecka«, od ochrony — swoich rówieśników i rówieśniczek! Nie można wymagać od Was tego, co dla drobiazgu ludzkiego jest niezbędne, ale można wymagać od was zrozumienia, że rówieśnicy Wasi i rówieśniczki Wasze tak samo są cennym i drogim dla społeczeństwa przyrostem, jak Wy nim jesteście, bez względu, czy uczęszczają lub nie uczęszczają do szkół średnich, czy uczą się zawodów praktycznych przy ladzie kupieckiej, lub w warstacie rękodzielniczym, czy wreszcie w gospodarstwie rolnem lub ogrodowem pomagają ojcom lub starszemu rodzeństwu męskiemu, a właściwie teraz — wobec wyruszenia ludności męskiej do boju — matkom lub starszym siostrom.

Można dalej wymagać od Was, oprócz tego zrozumienia i oprócz szczerego przejęcia się ideą skautową, wyrobionych pod wpływem tej idei uczuć braterskich i siostrzanych, można wreszcie przypuszczać u Was tę godziwą dumę skautów i skautek polskich, która nie pozwala zaskorupiać się w dotychczasowych nielicznych drużynach i zastępach, lecz wymaga wprost i liczebnego i jakościowego rozwoju tych drużyn.

Jeżeli prawdą jest, a chyba nikt z nas nie zechce o tem wątpić, że skauting jest dobrą szkołą rozwoju naszego zdrowia fizycznego i duchowego, to obowiązkiem każdego skauta i każdej skautki powinna być usilna i szczera troska o to, aby to zdrowie stało się udziałem jak największej liczby rówieśników i rówieśniczek, zwłaszcza teraz, gdy posiew wojenny tak okropnie i tak groźnie dla przyszłości naszej zachwaszcza młodociane niwy dusz i serc dziatwy polskiej!

Jak długie ugory najbardziej sprzyjają zachwaszczaniu pól i ogrodów, tak wszelkie chwasty przyjmują się i krzewią w takich sercach i w takich duszach, które oderwano od nauki, od zajęć, od pracy w ogóle i którym nagle i na długo zabrakło troskliwej, rozumnej, miłościwej opieki.

A jakaż to dzisiaj nauka szkolna przerywana i urywana wbrew woli nauczycieli i profesorów, gdzież te handle i warstaty, którym zabrakło towarów, materyałów i narzędzi, co za praca na roli pozbawionej nawozu, sprzętów, ziarna, bydła pociągowego?

Zapanowało z konieczności powszechne bezrobocie, wałęsanie się z kąta w kąt, bezmyślne »przepędzanie« dnia za dniem. Najgroźniejsze to i najbardziej dla serc młodocianych zabójcze trucizny!

Nie dajże Boże, ażeby skautom i skautkom polskim to zatruwanie dusz i serc rówieśników-nieskautów i rówieśniczek-nieskautek mogło być obojętnem, ażeby nie przyszło im na myśl, że w ich mocy jest uczuciem koleżeńskiem, braterskiem i siostrzanem przygarnąć ich do siebie i przez dopuszczenie do uczestnictwa w ćwiczeniach, wycieczkach, zabawach, gawędach, naukach pozaszkolnych i pracach dać im zakosztować korzyści i radości podporządkowania serc i umysłów przepisom prawa skautowego.

Rozumiem, że względy organizacyjne będą wymagały stosownego ugrupowania nowych zastępów i drużyn skautowych, tudzież wielu koncesyi pod względem wyekwipowania i odznak, ale gdzie rozchodzi się głównie o treść nie zaś o formę rozszerzenia i pogłębienia organizacyi skautowej, nie może i nie powinno zabraknąć uczucia braterskiego i siostrzanego dla tych rówieśników i rówieśniczek, którym życie skautowe otworzy nie znane im dotąd rozłogi pojęć, uczuć, pragnień i zasad.

Pierwsze pod tym względem kroki poczyniły: I-sza m. dr. skaut. im. Stefana Czarnieckiego w Nowym Sączu, która zalicza w swój skład w sąsiednich Marcinkowicach zastęp chłopaków wiejskich, tudzież I-sza ż. dr. skaut. im. król. Jadwigi w Nowym Sączu, która chlubi się zastępem wiejskich rówieśnic ze sąsiednich Gołąbkowic.

Vivant sequentes!

Oto, co możesz, powinnaś i nie wątpię, że zechcesz zdziałać, kochana młodzi skautowa na wdzięcznem polu pracy około »ochrony dziecka«.

Opowieści skautowe.

Uczynny żołnierz.

I.

(Ciąg dalszy).

— O nie mamusiu! Ten pan obandażował mi ją tak ślicznie, że już jestem zupełnie zdrów. W szpitalu powiedział lekarz, że tylko dzięki temu panu, nie stało mi się nic wielkiego. Czy nie potrzeba czego z miasta?

— W kuchni jest karteczka, a na niej jest wypisane wszystko.

Chłopiec ucałował matkę w rękę, pożegnał się z gościem i za chwilę znikł za drzwiami.

— Zapewne zdziwił się pan, ujrzawszy tę ruderę, służącą nam za mieszkanie. Zmusiła nas do zajęcia jej nieubłagana konieczność. Mieszkaliśmy w W..... Przyszła zawierucha wojenna, a z nią najstraszniejsze chwile. Pierwszym ciosem dla nas było odcięcie od kapitału, który mieliśmy złożony w warszawskim banku, a po nim nastąpiły inne. Nie było dnia, w którymby przez nasz dom nie przewijały się oddziały nieprzyjacielskie, połączone z ciągłym rekwirowaniem, a w końcu z otwartym rabunkiem. W ten sposób zostaliśmy ogołoceni z wszelkiej żywności, oraz ze wszystkiego, co tylko miało jakąkolwiek wartość. Nie pomagało ukrywanie tych rzeczy, żołnierze wiedzeni psim węchem znaleźli wszystko. W przededniu najstrasniejszych chwil, jakie mieliśmy przeżyć, umarł mąż, dostawszy ataku serca. Zostałam sama, z dwojgiem dzieci i służącą, a nim zdołałyśmy ochłonąć z tego okrutnego ciosu, znaleźliśmy się w samym środku prawdziwego piekła. Panie Pięknowski, gdyby nie

te ukochane dzieci, nie przeżyłabym tych dwóch tygodni, spędzonych w ciągłej grozie najokropniejszej śmierci, wśród nie milknącego całymi dniami ryku dział i karabinów. Przez dwa tygodnie żyliśmy w piwnicy naszego domu, a że nie zginęliśmy śmiercią głodową, a w końcu śmiercią z uduszenia, zawdzięczamy to bohaterskiemu Stefciowi. Panie! niech mi pan wierzy, nie mówię w tej chwili jako matka wynosząca pod niebiosa swego synka, ale jak świadek rzeczy nieprawdopodobnych, a jednak prawdziwych... — kaszel przerwał jej dalszy potok słów, z czego skorzystał Pięknowski i zapytał:

— Czy synek pani należy może do zrzeszenia skautowego?

— Tak jest panie! Zachwycam się tą organizacyą i jestem dumna, że mój syn jest polskim skautem. W domu otrzymał wzorowe wychowanie, ale przez te dwa lata należenia do drużyny harcerskiej, zmężniał, rozwinął się fizycznie i nauczył się radzić sobie w każdej okoliczności. Ta zaradność uchroniła nas od niechybnej śmierci. Przez dwa tygodnie, żywił nas żywnością, po którą wyprawiał się co noc. Zdawało się, że zacięta walka, która toczyła się przez cały dzień, nie ustawała i w nocy. W takich wypadkach zabroniłam mu surowo wychodzić poza naszą kryjówkę, ale gdy pewnego razu brakło żywności, a ja z wielkiego osłabienia zasnęłam, wymknął się. W czasie jego nieobecności spałyśmy z córką i służącą, ale gdy rano dowiedziałam się o jego niebezpiecznej wyprawie i wyobraziłam sobie, co go mogło spotkać, rozpłakałam się jak dziecko. Wtedy ten ukochany chłopiec rzucił mi się na szyję i powiedział, że nie może mu się nic stać, bo ma na piersiach talizman, który go od wszelkich niebezpieczeństw uchroni. Był to medalion Matki Bożej. Czy uwierzy pan, że odtąd ile razy wychodził byłam zupełnie spokojna o niego. Pamiętał o wszystkiem i codziennie przynosił coś innego z rzeczy niezbędnie potrzebnych a nawet jak na nasze położenie zbytkownych. Abyśmy się nie nudziły i odwróciły myśli od strasznej rzeczywistości, przyniósł nam pewnej nocy wielki zapas różnokolorowej włóczki i kanwy, którą zabrał ze zburzonego do połowy sklepu. W ten sposób znalazł zajęcie i dla nas i dla siebie, gdyż sam rysował różne sceny z życia harcerskiego, a nam kazał następnie haftować. Proszę, może pan zechce obejrzeć, tu są porozwieszane po ścianach.

Były to rzeczy wykonane z prawdziwym artyzmem. Były reprodukcye wielu znanych mu obrazków i zdjęć z życia młodzieży harcerskiej, ale były także rzeczy oryginalne. Najbardziej podobała mu się scena przedstawiająca królewski dziedziniec na Wawelu, na którym stał król polski; otaczała go olbrzymia falanga harcerzy, wznoszących właśnie okrzyk na jego cześć; w górze unosił się las kijów z nasadzonymi na nie kapeluszami. Tuż obok tronu królewskiego, stał naczelny harcerz polski, który oddawał właśnie królowi ukłon. U góry widniał napis: »niech żyje wolna i niepodległa Polska!« Pięknowski zachwycał się tym obrazem.

— Ta rzecz jest rzeczywiście piękna, ale proszę mi powiedzieć — zapytał w jaki sposób przyszła taka myśl do głowy, temu dzielnemu chłopcu?

— I ja się zdziwiłam, gdy mi pokazał ten rysunek, a na podobne pytanie, jakie mi pan teraz stawia, odpowiedział, że na wycieczkach prowadzili często gawędy na ten temat z instruktorem. Pewnej nocy — opowiadała dalej pani Miłowska — Stefek nie wracał długo i dopiero nad samem ranem usłyszałam jego słowa za drzwiami piwnicy: »Mamusiu, proszę się nie przerażać, bo mi nic nie jest i tylko trochę powalałem się krwią« — poczem dopiero wszedł do środka. Mimo tego ostrzeżenia, krzyknęłam, widząc jego ręce czerwone i plamy krwi na ubraniu, uspokoił mnie jednak po raz drugi i opowiedział skąd to się wzięło u niego. Na ulicach miasta leżało mnóstwo rannych, między którymi musiał przechodzić, a którym niósł pomoc wedle sił i możności, przynosząc im wodę i opatrując podręcznemi bandażami rany. Musiał to czynić i potem, bo od tego czasu, gdy wyszedł około północy, wracał dopiero nad ranem. Na moje prośby i błagania, by nie narażał się tak ciągle, odpowiadał, że musi spieszyć tym biednym i nieszczęśliwym z pomocą, a Matka Boża strzedz go będzie zawsze...

— A niech mamusia opowie o tym piesku, którego Stefcio przyprowadził — przerwała matce opowiadanie dziewczynka.

Matka uśmiechnęła się.

— Niech sobie pan wyobrazi moje zdumienie, gdy pewnej nocy przyprowadził Stefan do naszego podziemnego mieszkania olbrzymiego psa, kulejącego na jedną nogę, zranioną odłamkiem szrapnela. Rana nie była ciężka, zagoiła się szybko, a myśmy pozyskali nowego obrońcę. Pies przywiązał się do nas bardzo i rozumiał niemal każde

słowo zwrócone do niego. Odtąd ile razy Stefciu wychodził, a wychodził coraz częściej i w dzień, pies pozostawał na straży naszego mieszkania. (C. d. n.).

Wyjątek z pamiętnika.

(Dokończenie).

Czwartek, d. 15. lutego. Lwów.

Spaliśmy do siódmej może godziny. Jeden z naszych gospodarzy, klnąc po bawarsku co się zowie, wyłazil ze swego łóżka i przygotowywał się do służby, którą miał dziś pełnić, zaś drugi spał jak zabity po wczorajszym wesołym wieczorze. I my też poczęliśmy wyłazić z naszych worków, spaliśmy bowiem w zeszytych kocach. Trzeba było teraz przynieść wody do mycia się i do ugotowania śniadania, a na dworze działo się coś okropnego. Huragan siekąc śniegiem przy kilkunastostopniowym mrozie, wyprawiał harce po polach, wyjąc po kępach drzew jak potępieniec. Dziwnie wyglądała szczególnie jedna wierzba przydrożna, która chłostana wichurą, wywijała tak swymi wicinami, jak jakiś polip o stu ramionach, wijąc się, lub jak człowiek bajeczny, sturęki, błagający pomocy.

Brr! Umyłem się na dworze! Wróciłem do izby z zamarzniętą czupryną, zmoczyłem bowiem włosy. Na całe pocieszenie w izbie panował upał prawie większy od wczorajszego, a na kuchence bulkotało rozkosznie, gorące i wonne kakao. Gdy trochę odtajałem, trzeba było zrobić porządek. Tymczasem nasi gospodarze, byli dla nas tak gościnni, że aż było mi trochę nieprzyjemnie — nie dali nam nic robić — i sami wszystko posprzątali. Potem odbyła się narada w sprawie podziału dnia. A więc postanowiono primo: zaraz teraz (n. b. po naradzie!) zgotować obiad i postawić go na »ciepło«, secundo: pójść na wspaniałe zjazdy, które leżą na wschód od Derewacza, tertio: zjeść obiad, a quarto: już niestety powrót do Lwowa via Kuhajów. Wzięliśmy się zaraz do wykonania pierwszego punktu.

Oj te nieszczęśliwe knedle! Kosztowały nas one tyle pracy a w rezultacie dały nam dobry klej do zalepiania żołądków.

Po ukończeniu zajęć, ubrawszy narty, jeden za drugim poszliśmy w kierunku wschodnim. Zjazdy były wspaniałe! Tak zwany »mały Włodzio« na swoich krótkich pałękowatych nogach, pokazywał nam jak nie należy zjeżdżać i jak się wywraca. Ale nie możemy i my reszta chwalić się, że żaden z nas nie leżał. »Sypnąłem« się i ja raz potężnie, dzięki temu, że jestem długi jak tyka od chmielu, i w czasie zjeżdżania w całym pędzie dostałem gałęziami po twarzy, pod któremi wszyscy inni spokojnie przejechali.

Tymczasem zupełnie się wypogodziło, słońce tak lśni się na śniegu, że trzeba było od nadmiernego blasku mrużyć oczy. Wszędzie leży olśniewająco biały śnieg, gdzieniegdzie tylko wystaje z pod niego kępa krzaków lub traw i drzewa rzucają ostry cień.

I stary las odżył, nie taki on wprawdzie gwarny jak w lecie, ale weselszy, i nie taki już poważny jak wczoraj. Pomimo mrozu ptaszki wytężają swe gardziołki i wyśpiewują a raczej wydzierają się głośno, jakby ciesząc się do tych promieni słońca, igrających iskrami po śniegu i w zwałach lodu. Wszędy śnieg poprzerzynany tropami licznej zwierzyny.

I było nam bardzo wesoło, ale że wszystko dobre przemija, więc i to przeminęło. Musieliśmy wracać.

Wracaliśmy raźno, żołądek bowiem domagał się swych praw. A tam czekają na nas... knedle!

Obiad zjedliśmy z apetytem aż się nam uszy trzęsły. Teraz urządziliśmy sobie siestę, ponieważ mimo wojny itd obiad był aż nadto obfity. Leżeliśmy więc brzuchami do góry, myśląc trochę o »niebieskich migdałkach«. Ale i na nie kres przyszedł, bo punktualnie o godzinie 1 min. 15 ru-



szyliśmy w kierunku Kuhajowa, podziękowawszy za kwaterę i gościnność. Po drodze mieliśmy kilka zjazdów dość długich i zresztą nic ciekawego do obserwacyi nie było, chyba tylko wysokie zaspy śnieżne,

i tak aż do samego Kuhajowa. Tu nas uwiecznił Zbyszek R. na fotografii, siedzących na »hiszpańskim koniku« w starych okopach austryackich. Zrobił jeszcze drugie zdjęcie, ale to sie prawdopodobnie nie uda. Stąd ruszyliśmy do państwa U., którzy przyjęli nas bardzo gościnnie i zaopatrzyli na drogę doskonałemi jabłkami.

Ładną jest bardzo i godną uwagi cerkiew w Kuhajowie, czarna od starości i zgarbiona pod brzemieniem lat. Niestety nie mieliśmy czasu bliżej jej zwiedzać. Ruszyliśmy dalej w kierunku Lwowa.

Po drodze mieliśmy śliczne zjazdy ze skoczniami i żałowaliśmy ogromnie, że już trzeba wracać. Zabawiliśmy się dość długo, za 45 minut może, będzie już zachód słońca, a potem droga po ciemku »tylko« 16 kilometrów. Dość nieprzyjemna perspektywa po uciążliwym dniu. Tymczasem weszliśmy na pola, na których śnieg był zwiany doszczętnie prawie, potężnie ciężko było, z tego też powodu, wlekliśmy się jak żółwie.

»Mały Władzio« szedł na przedzie, ponieważ »spuchł« i baliśmy się, żeby idąc na końcu nie zgubił się. Nareszcie po długich a ciężkich tarapatach doszliśmy do »naszego« drzewa oryentacyjnego. Tu pokrzepiliśmy się gorącą herbatą z thermosu Zbyszka R.

W czasie postoju pokazało się, że Władkowi K. pękł rzemień przy wiązaniu. Zbyszek temu zaradził, gdy ja z »małym Władziem« zmarznięci z powodu braku ruchu i wichury szliśmy spiesznie naprzód, na całe szczęście już po śniegu, a nie po zmarzłej grudzie i lodzie.

Tymczasem zmrok zapadał coraz większy, i było już prawie całkiem ciemno, gdy zamajaczyły przed nami i po naszej lewej stronie drzewa przy gościńcu i słupy telegraficzne.

Nagle jedna moja narta opisawszy łuk nad gościńcem, upadła do rowu, a ja zrobiłem to samo co ona, tylko na drodze. Przyczyną tego był pęknięty przedni rzemień w wiązaniu. Na całe szczęście znalazł się jeszcze jeden w zapasie. Nareszcie jesteśmy na szosie. Zdejmujemy narty i powtarza się ta sama historya co na początku.

I nastała cudna, pełna tajemniczych świateł noc. Niebo ciemno-granatowe usiane milionami gwiazd. Droga Mleczna rysowała się wyraźnie ze swem bladem fosforycznem światłem i Plejady migotały w górze nad nami, i widniał Orion ze swym mieczem, cudnie było, tak cudnie, że słowami tego wyrazić się nie da. Takie noce przeżyłem raz tylko w życiu niecały rok temu w lecie, w początkach sierpnia 1916 r. w Kopiatynie. Włóczyłem się wtedy po całych nocach, niebo było jasne tak prawie jak w dzień, księżyc był w pełni i blaskiem swym, jak powodzią, zalewał cały przestwór, jakby jakąś srebrzystą i leciuchną mgłą. Co chwilę niebo pękało jasną smugą meteorów, tak wtedy częstych. Było mi wtedy ogromnie dobrze.

Nie mogłem jednak teraz oddać się wyłącznie podziwianiu cudnej nocy, musiałem spieszyć za moimi towarzyszami, których sylwetki gdzieś daleko przedemną majaczyły na drodze.

Dogoniwszy ich zauważyłem, że Zbyszek niesie w ręce jakiś duży przedmiot o niewyraźnych kształtach. Dowiedziałem się, że to idący na przodzie Władek K. zgubił swój koc, który miał przytroczony do plecaka, a który znalazł i podniósł, idący za nim Zbyszek. Szliśmy może jeszcze 15 minut, gdy Władek odwraca się i mówi nam z grobową miną, że musi się wracać, ponieważ zgubił koc. Zaczęliśmy mu perswadować, że on pewnie na wycieczce całkiem koca nie miał, albo go zapomniał w Derewaczu, a my sobie dokładnie przypominamy, że już przed kwadransem go nie miał, a choćby go i po drodze zgubił, to musieli go zauważyć i »podnieść« wieśniacy jadący z miasta. W końcu Zbyszek wręczył mu koc, mówiąc że mu się nie chce go nieść dalej, »bo mu się ręka poci«. Wśród wesołości szliśmy dalej. Z daleka świeciła jasno fabryka betonu i elektrownia na Persenkówce. Światła zdawały się coraz bardziej i bardziej zbliżać, aż były już całkiem blizko, przeszliśmy wiadukt nad torem kolejowym, dawniej prowadzącym do Czerniowiec i Stanisławowa, jeszcze trochę — i doszliśmy do rogatki. Tu »spakowaliśmy« narty i ruszyliśmy do domu, wspominając sobie wycieczkę, aby przeżyć jeszcze raz miłe chwile.

Zobaczyliśmy, że w mieście przez te dnie była odwilż, i śniegu już prawie niema! Rozchodząc się, każdy do swego domu, umówiliśmy się, że o godz. 8 min. 15 każdy będzie myślał o wycieczce i o tem, co inni porabiają.

Właśnie wybiła przed chwilą 8·15. Przyjemna wycieczka, ale taka krótka, tylko dwudniowa! W lecie będą dłuższe!

Czuwaj!

Adam Ciołkosz.

Sprawności.

Skaut sygnalista.

(Ciąg dalszy).

2. *Sygnały głosowe*

daje się alfabetem Morsego, na gwizdku, trąbce, dzwonku elektrycznym lub pukaniem. Dokładnie odgraniczaamy tony krótkie (kropki) i długie (kreski) i dokładnie wytrzymujemy pauzy między znakami. — Oto kilka rozkazów gwizdkowych: —— baczność, spokój, uważać na dalsze rozkazy (kilka, najmniej 4) — — — — — rozejść się, rozprószyć się, odsunąć się, wyjść z kryjówek, naprzód, rozwinąć szyk patrolowy (kilka, najmniej 4) . . . . schodzić się, zbiórka. . —. —. — i t. d. alarm, uważać, na miejsca alarmowe . . — patrolowi do mnie.

3. *Sygnały dymem i światłem.*

Na zwykłe ognisko narzuć wilgotną trawę, siano, liście i t. p., a na to połóż wilgotną płachtę. Maly słup dymu (kropka) osiągniemy, odkrywając ogień na 2 takty; aby otrzymać słup dymu duży, odsuwamy płachtę na 6 taktów. Słup dymu będzie tem większy im więcej mu zostawimy czasu, by mógł się zebrać; przerwa więc między znakami trwa 8 taktów.

Duży, długotrwały słup dymu znaczy: »stój!« Trzy duże, w dłuższych odstępach po sobie powstające słupy dymu oznaczają: »naprzód!« — Liczne krótkie: »zbiórka«. Wielkie i małe kłęby dymu naprzemian znaczą: »alarm, czuwaj!«

Sygnały świetlne dajemy: a) ogniem, b) latarką, c) heliografem.

a) Rozniecamy silny ogień; przed nim trzyma dwóch sygnalistów wilgotną płachtę. Przez to ogień staje się dla stacyi odbiorczej niewidoczny. Aby dać kropkę — odsuwamy płachtę i ukazujemy płomień na 2 takty, kreskę — na taktów 6. Przerwa między znakami trwa 4 takty, dłużej trwają przerwy między literami.

Stanowisko należy tak wybierać, by ogień sygnałowy nie mógł być przez odbiorcę zamieniony z poblizkiemi światłami, latarkami przejeżdżających kolarzy i t. d.

Pamiętać należy, by ogień podczas przerw między znakami był zupełnie zakryty.

Sygnalizuje się alfab Morsego; znaki porozumiewawcze jak przy sygnalizacyi chorągiewkowej, nadto: koniec wyrazu *i* »zrozumiał« oznacza bardzo długi błysk. Koniec depeszy = *sk*. Popraw światło = *ps*.

b) Latarkę umieszcza się w wysokości 1—2 m ponad ziemią na ogrodzeniu domu, wiesza się ją na słupie telegraf, drzewie, nawet lasce harcerskiej lub na piersiach, pasku, sygnalisty. Zważać należy, by wiatr lub inne wstrząśnienie nie zdołało wytrącić latarki z jej położenia. Kropka — krótki błysk, 1 takt. Kreska — długi błysk, 4 takty. Przerwa po każdym znaku trwa 1 takt, po każdej literze: 4 takty. Znaki porozumiewawcze, jak przy sygnalizacyi ogniem. Na małą odległość można sygnalizować kieszonkową latarką elektr. (bez reflektora — sygnały widoczne na 2 km.; z reflektorem do 4 km). Na dalsze odległości (10 km.) konieczną jest lampka acetylenowa (rowerowa).

c) Aparat heliograficzny składa się ze statywu (podstawki), lustra i lampy; umieszcza się go w wysoko położonych miejscach. Ustawia się kij w ten sposób, by przez małą dziurkę, specyalnie po to zrobioną w lustrze, widzieć poprzez koniec kija stacyę odbiorczą, poczem nastawia się lustro tak, by promienie słoneczne wpadające do lustra, przechodziły przez wierzchołek kija. W tym wypadku można przyjąć, że stacya odbiorcza widzi promienie słoneczne błyszczące w lustrze. Sygnały takie są widoczne u nas na 35 kilom., w krajach południowych nawet na 50 km W nocy posługuje się latarką acetylenową, która rzuca promienie do stacyi przeciwnej przez soczewki reflektora Znaki Morsego zastępuje się długimi (kreska) i krótkimi (kropka) błyskami. Pauzy należy dokładnie odmierzać.

O ile mamy słońce przed sobą, to wystarczy nam kieszonkowe luterko o średnicy 6—8 cm. i laska. Laskę ustawia się o 2—3 m. przed sobą tak, że lustro, górny koniec kija i stacya odbiorcza leżą na jednej linii prostej. Jeśli oświetlimy koniec kija, to przeciwna stacya widzi błyski lustra. Jeśli jednak słońce mamy za sobą, to musimy promienie słońca rzucać na lustro sygnalizacyjne za pomocą drugiego lustra. Heliografem zwiemy jednak dopiero aparaty wyposażone w dwa lustra i wizyer.

4. *Znaki »nieme«*

Patrolowy może w razie potrzeby dawać następujące znaki laską albo chorągiewką lub też ręką:

1. Ręka lub chorągiewka, przesuwana poziomo przed obliczem, znaczy: »Nie, Dajcie spokój, Zostańcie, jak przedtem«.

2. Powolne obniżanie podniesionej w górę laski w obie strony niżej poziomu lub podniesienie obu rąk w bok znaczy: »Rozciągnąć się. Rozejść się. Oddalcie się«.

3. Szybkie ruchy boczne wzniesionej nad głową laski lub podniesienie rąk w bok i skrzyżowanie przed piersiami znaczy: »Zbiórka. Skupić się. Chodźcie tutaj«.

4. Poruszanie laską w jedną tylko stronę oznacza: »Idźcie w tym kierunku«.

5. Ręka lub laska podniesiona w pion znacz: »Baczność. Uwaga«.

6. Ręka podniesona ponad głowę i zaraz opuszczona, znaczy: »Marsz«! lub »Stój!«

7. Obie ręce złączone lub chorągiewka, zniżana i podnoszona bardzo szybko, kilka razy, znaczy: »Biegiem«.

Gdy patrolowy daje (głosem) jakąś wiadomość lub rozkaz, harcerzowi, który jest oddalony, harcerzów, jak długo słyszy to, powinien trzymać dłoń na poziomie twarzy lub przyłożoną do kapelusza. Jeśli zaś nie słyszy, to stoi, nie ruszając się ani też nie robiąc żadnego znaku. Patrolowy powtórzy wtedy rozkaz głośniej lub też skinie na harcerza, aby się przybliżył.

Następujące sygnały daje laską harcerz, wysłany na wywiady:

1. Poziome trzymanie nad głową laski — widać kilku »nieprzyjaciół«

2. Kilkakrotny wolny ruch poziomo trzymanej w górę laski lub powolne wywijanie kapeluszem nad głową — »widać kilku nieprzyjaciół, lecz daleko«.

3. Takie samo kilkakrotne ale szybkie wznoszenie laski w górę lub szybkie wywijanie czapką nad głową znaczy, że »widać nieprzyjaciela dość blizko«.

4. Pionowe podniesienie laski w górę oznacza, że »nie widać wcale nieprzyjaciela«. (C. d. n.).

Stefan Kuta.

Wycieczka do Ojcowa.

Czarno-białe, niemiłe dla oka i jakieś wrogie słupy, znaczące granicę rosyjską, mieliśmy przed sobą. Z budki o tychże barwach wyglądnęła obrzękła, zarośnięta, dzika twarz sołdata rosyjskiego.

Była godzina 9-ta rano.

— Można już wejść do komory? — zapytaliśmy owego strażnika w budce.

Leniwie i jakby pogardliwie przytaknął głową. Weszliśmy więc do izby komornej. W jednym rogu, u góry, paliła się zwyczajem rosyjskim, przed małym obrazkiem oliwna lampka Na środku ściany widniał portret cara Mikołaja II-go. Urzędnicy przyglądali się ciekawie naszym mundurkom skautowym, a ciekawiej jeszcze zrewidowano nasze plecaki.

Zabawna historya była z wodą chrzanową Emila, którą nosił zwykle na wycieczkach dla zaspokajania pragnienia. Sołdat zoczywszy manierkę, napełnioną płynem, otwiera ją z ciekawością, przytyka do nosa raz, drugi i trzeci i wącha. Zapach chrzanu i octu wydał mu się podejrzanym.

— A szczo to? — pyta urzędnik.

— Woda z chrzanem — mówi Emil.

— Szczo?

— Woda z chrenem — tłumaczy sołdat.

Wąchali jeszcze chwilę ku naszej uciesze i oddali z powrotem.

Lasek skautowych nie mieliśmy ze sobą, bo Moskale uważają je za coś niebezpiecznego i pewnym skautom zatrzymali je na granicy. »Jak Pan Bóg dopuści, to i z kija wypuści«, sądzą.

Dano nam podpieczętowane przepustki. Nucąc »murmurando«: »Jeszcze nie zginęła«, ruszyliśmy po godzinie 10-tej ku dolinie Ojcowskiej i w niespełna dwie godziny byliśmy na miejscu.

Co za oryginalne i cudne rzeźby natury, harmonia, piękno! Jak malowniczo dostrajają się do wapiennych rzeźb czarne, urocze świerki, lub odbijające znów od tych młode, jasno-zielone, srebrzyste, budzące się do życia liściaste drzewka. Jakżeż oryginalne są niektóre chaty tutejsze, poumieszczane przy grotach, ponad spadzistościami.

Ręka natury potworzyła w tej dolinie przeróżne postacie kolosalnych rozmiarów. Idącemu doliną przesuwają się ciągle przed oczyma to jakieś królowe skamieniałe, to zwierzęta, olbrzymie ptaki, pustelnicy ze zwisającemi brodami, liczne maczugi, czy wreszcie budowle jakieś olbrzymie lub ściany tychże, świecące olbrzymiemi oknami. Wszystko to jakieś tajemnicze, nieludzkie, nadziemskie dzieła, jakieś potężne, poważne, urocze, ciche. I tylko Prądnik szumi z lekka, kotłując wśród skał.

Dolina Ojcowa, to przedhistoryczna osada z czasów, gdy przodkom naszym za

pokoje i salony dzisiejsze służyły groty, kiedy nieznano żelaza, a posługiwano się kamiennemi narzędziami. Pamiątki z tych czasów pozabierano z grot i poumieszczano w muzeach. W muzeum miejscowem jest ich niestety bardzo mało.

Cenne są w swym uroku ruiny zamku królewskiego, pochodzącego z XIV. w. obecnie własność hr. Ludwiki Krasińskiej. Z zamku pierwotnego pozostały tylko resztki muru obronnego, czworokątna baszta z bramą ostrołukową i baszta ośmioboczna w zachodniej części dziedzińca. Była też w zamku tym kaplica, w której król Stanisław August trzymał do chrztu córkę Teofila Załuskiego, kasztelana Buskiego. Zamek był zamieszkałym jeszcze do drugiej połowy XIX. wieku i odtąd dopiero datuje się jego ruina.

Ze wzgórza zamku zesunęliśmy się ku uroczej willi »Goplana«, poczem postanowiliśmy zwiedzić którąś z głównych grot.

Klucze od grot posiadają tutejsi przewodnicy, oprowadzający gości po grotach za pewną opłatą. My na tę opłatę pieniędzy nie posiadaliśmy. Czekaliśmy więc sposobności wejścia do groty z jakiemś szerszem towarzystwem. Po półdniowem błąkaniu się po dolinie i mniejszych, zamkniętych grotach, sposobność ta nadarzyła się nam.

Przedtem jeszcze wyszukaliśmy sobie za »Krakowską Bramą«, w górze miejsce na obowisko nocne, gdzie złożyliśmy też swe plecaki. Szukaliśmy następnie przez dłuższy czas słynnej groty Łokietka czyli »Królewskiej« Daremnie jednak. Dopiero nad wieczorem podążyliśmy tam, dołączywszy się do grupy robotników, prowadzonej przez przewodnika. Za nimi też wsunęliśmy się skromnie w grotę.

Wejście do groty stanowi chodnik 20 m. długi 3 m. szeroki, biegnący wśród wysokich, gładkich skał, rozbiegających się w górze.

Zapaliliśmy świece i weszliśmy we wnętrze groty. Zimno i wilgoć wionęła w twarz, ciemność uderzyła w oczy, jakaś groza i urok zarazem ujęły za serce. W ciemnościach, wśród okopconych sadzą ścian zdawały się przesuwać tajemnicze jakieś postacie czy cienie, czasem błąkał się gdzieś, jak mglisty duch — promyk światła. (Dok nast.).

Z życia skautów.

Jarosław. Raport za czas od 15 lipca 1916 do 10 marca 1917 r. Z chwilą ukończenia roku szkolnego 1915/16, drużyna wakacyjna rozpoczęła natychmiast swą pracę, prowadzoną szczególnie w kierunku praktycznym. Główny nacisk kładziono na umiejętność zachowania się i wyzyskiwania terenu. Ćwiczono się w oryentowaniu, podchodzeniu i obozowaniu; ponadto urządziła drużyna cały szereg gier skautowych i ćwiczeń trwających często dłużej nad jedną dobę. Wraz z nastaniem późniejszej jesieni, a następnie i zimy, zostaliśmy wprawdzie zmuszeni brakiem dobrego obuwia i ciepłej odzieży u większości druhów do zaprzestania zabaw i ćwiczeń polowych, ale energia i praca członków drużyny bynajmniej przez to nie osłabła.

W izbie skautowej mieszczącej się jak dawniej w Sokole, urządzano przez całą zimę szereg zebrań i pogadanek już to poszczególnych zastępów, już to całej drużyny. Oprócz tego uroczyście święciliśmy w gronie naszym wieczorkami lub odczytami wszystkie ważniejsze rocznice i obchody narodowe.

Obecnie liczy drużyna przeszło 30 ludzi, w trzech pełnych zastępach. Ta dość szczupła ilość członków da się łatwo wytłomaczyć tem, że wielu z naszych szeregów zostało powołanych do armii lub wstąpiło do Legionów. Co niedzieli po nabożeństwie odbywa się raport drużyny przed dh. komendantem prof. K. Skarbowskim, na którym tenże po wysłuchaniu sprawozdania z dokonanej pracy udziela nam rad, wskazówek i poleceń na przyszły tydzień. Wszyscy członkowie drużyny uczęszczają także obowiązkowo na gimnastykę, a w razie potrzeby pomagają Sokołowi jużto w urządzaniu uroczystości i przedstawień, jużto w wypożyczaniu książek z biblioteki. Patronem drużyny jest Ks. Józef Poniatowski.

Przemyśl. I-sza przemyska drużyna skautowa im. gen. Dezyderego Chłapowskiego. Rok nowy rozpoczęliśmy organizacyą drużyny. Zastępy składają się z chłopców tej samej klasy. Gawędy odbywają się regularnie. Zastęp pierwszy złożony ze starszych kolegów przerobił »Katechizm rycerski« i »Katechizm narodowy«. Inne zastępy kończą przerabiać historyę polską, prócz tego przerabiają »Harce« i niektóre artykuły z drugiego tomu „Skauta". W zastępach młodszych przerabia się prócz tego »W pustyni i puszczy«. Co niedzieli odbywają się gawędy całej drużyny pod kierownictwem p. prof. Malskiego.

Całą zimę odbywał się kurs sanitetów złożony z ochotników. Kurs jest na ukończeniu. Teraz zaczynamy przerabiać nadprogramowo »Terenoznawstwo«.

Dn. 1. IV. Pierwsze wiosenne ćwiczenie. O godz. 2-giej zbiórka w ubraniach skautowych na boisku sokolem. Treścią ćwiczenia było: marsz potyczkowy drużyny celem zajęcia i obsadzenia przeprawy dla armii, spotkanie się z nieprzyjacielem, potyczka. Następnie zbiórka, musztra i powrót do miasta. Pogoda sprzyjała, to też nie brakło humoru i śpiewu. Czuwaj! *Zdzisław G*

Redaktor odpowiedzialny: **Czesław Pieniążkiewicz.** Własność Zw. Polskich Gimn. Tow. sokolich.

Z I. Związkowej drukarni we Lwowie, ulica Lindego l. 4.